
WIESŁAW KRAWCZYŃSKI

WĘDRÓWKA PRZEZ KOLEJNE OBOZY

Zima w 1951 roku była najsrozsza w moim zyciu. Raz podano nam do wiadomosci, ze nie dotrzemy do teatru z powodu 61° mrozu. Jenisej koło Igarki zamarzl. Podobno specjalne traktory wygladzaja powierzchnię rzeki, by zrobic z niej trasę komunikacyjną dla samochodów ciężarowych. Tak więc zimujemy w naszej bazie i mimo mrozów jesteśmy pilnie strzezeni. Próby teatralne prawie ustały, mam więc czas na ciekawe obserwacje społeczności w której wypadło mi żyć. Mimo dłuższego przebywania razem, i jak się okazało pozornego jedynie zżycia się, ludzie nie prowadzili rozmów o swojej przeszłości, czyli nie wiele widziałem – kto, kiedy i za co został skazany. To są sprawy, z których nie należało zwierzać się współlagiernikom i tylko przypadkowo dowiadywałem się nieraz kim były na wolności niektóre osoby z teatralnej grupy. Także i ja, by zabezpieczyć się przed jakimś łagrowym „uchem”, nie wypowiadałem się na temat własnych doświadczeń przed aresztowaniem. Jedynie z Zosią Klimaszewską i innymi Polakami mogłem rozmawiać szczerze i wyjść poza kanon panujących tu norm nie mówienia za wiele o sobie. Cokolwiek jednak sądzilibyśmy o słuszności takich zachowań, trzeba przyznać, że nadmierna gadatliwość nie była pożądana w tym środowisku. Rzecz nawet mogę, że panowała tu zasada, mało mówić o sobie, i nie wiele wiedzieć o innych!

Wszystkie osoby z teatralnej grupy, brały udział w tej scenie życia poza drutami. Wydawało się nieraz, że żyli teraz w zapomnieniu lat gdy przebywali na wolności i pełnili tam swoje życiowe role – artystów, mężów i ojców, konspiratorów itp. Teraz po latach usiłuję wygrzebać z pamięci jakieś wyraziste wizerunki współwięźniów i niesporo mi to idzie. Oczywiście zapamiętałem postać N. N. Czerniatyńskiego, o którym z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że był człowiekiem szlachetnym i dzisiaj po latach nic nie straciła ta postać ze swojej autentyczności. Trudne to opisy, ale ważne nie ograniczające się do łagrowych nieszczęść, lecz pomagające w odkrywaniu prawdy o życiu tam, i refleksji nad własnym życiem, jakże często uzależnionym od innych i to zarówno w sensie pozytywnym jak i negatywnym. Tym pozytywnym fragmentem była decyzja N. N. Czerniatyńskiego o

przyjęciu mnie do orkiestry oraz względnie poprawny układ stosunków między ludźmi panujący w naszej teatralnej grupie. Wprawdzie byliśmy pilnie obserwowani przez obozowych donosicieli, nic jednak nie wydarzyło się tak drastycznego co mogłoby zaważyć na zmianie naszego „artystycznego” statusu. Wypełnialiśmy swoje obowiązki nie wdając się w zwierzenia i oceny.

Wiosną tego roku minister Ławrientij Beria wydał zarządzenie nakazujące oddzielenie więźniów politycznych od reszty łagierników, i skierowania ich do specjalnych obozów. Zostajemy więc oddzieleni od „worów” (złodziei), szmuglerów, morderców, przestępców gospodarczych, których wielu jest w łagrach. To oni byli ciągłym utrapieniem nas, politycznych skazańców, na których wymuszali oddawanie paczek żywnościowych, zabierali lepsze odzienie i często posuwali się do przemocy graniczącej nieraz z ciężkim pobiciem, a nawet zabójstwem. Na tym styku z „worami” ponosiliśmy zawsze klęskę, a poskarżyć się nie było komu, bo obozowi nadzorcy w zasadzie tolerowali te karygodne działania. Ponadto mieli oni w tej społeczności swoich donosicieli, którzy szpiclowali wśród politycznych. Czeka mnie więc „przeprowadzka”, ale kiedy i dokąd? Koniec też z teatrem, środowiskiem, w którym chroniłem swoje życie i psychikę. Nastął więc dla mnie czas niepokoju, kiedy i gdzie zostanę wysłany? Serdecznie pożegnałem się z N. N. Czerniatyńskim, który otaczał mnie sympatią, z kolegami artystami i krajanką Zosią Klimaszewską.

Czas oczekiwania na „przeprowadzkę” przedłużał się. Ogarniały mnie złe myśli przed tą drogą w nieznaną, w nowe strony i nowe środowisko. Wreszcie w czerwcu opuszczam obóz. Mam walizkę zrobioną przez Polaków stolarzy w Abieź, a w niej nieco bielizny, w którą zabezpieczyła mnie Zosia. Oczywiście mam też swoje skrzypce, trochę nut i różnych drobiazgów zgromadzonych podczas tej długiej już obozowej tułaczki. Płynę statkiem do Krasnojarska, skąd więziennym pociągami wiozą mnie do miejscowości Tajszet. Jak się później okazało w Irkuckiej Obłasti. Po kilku dniach pobytu w tej miejscowości jadę dalej pod konwojem i wysiadamy na stacji Czuna. Obóz mały, koło trzystu więźniów, położony w tajdze. Tajga – cudowny las, ogromny, zapach żywicy. Po paru latach pobytu za kołem podbiegunowym tu w irkuckim rejonie zupełnie inny klimat, przyroda.

No i właśnie ten las, syberyjska tajga. Las wiąże się ze wspomnieniami dzieciństwa, które spędziłem w cudownych warunkach rodzinnych, domowych. Powracają wspomnienia z tamtych lat, przez pamięć snują się jakieś pejzaże czasu minionego, jakże odmienne od życia tutaj na zesłaniu. Dom mojego dzieciństwa był na skraju lasu, z przeważającą ilością sosen i często wędrowałem po leśnych zakątkach poznając jego tajemnice i przyrodę. Odkrywałem wówczas tylko dla siebie, wydawało mi się nieznaną nikomu wcześniej wyspę. Czasami

była to omszała polana lub stare walące się drzewo, jakieś ptasie gniazdo lub leśny wykrot. Jak będzie tutaj wśród tych obcych drzew tajgi, powalanych siekierą obozowych drwali, bezlitośnie niszczących leśne poszycie i wiekowe drzewa? Przyznaję, że tajga budziła we mnie wspomnienia z dzieciństwa, kiedy odnajdywałem w lesie stare drzewa zawsze zadziwiające mnie swoją dostojnością. Tutaj z dala od stron rodzimych drzew takich było w tajdze pod dostatkiem. Ten sposób postrzegania przyrody w łagrowych warunkach bytowania nie pozwalał mi w pełni korzystać z rozległych zasobów życia emocjonalnego, ale mimo to dzika tajga dawała jednak jakieś poczucie wolności.

Nowe miejsce pobytu wyzwała zawsze pytania dotyczące warunków panujących w obozie, stosunków między osadzonymi w nim ludźmi, zakwaterowania. Uważnie więc przyglądałem się temu obozowi i modliłem się o Bożą opiekę i zdrowie, dające siłę do przetrwania. Wkrótce po rejestracji otrzymuję kawałki materiału, które mam naszyć na czapce, plecach i prawym kolanie, a na nich numer łagrowy z rosyjską literą „Ja – 6”. A więc zostaję numerem bez nazwiska, który je zastępuje. Istnieje ono jednak w dokumentacji obozowej wraz z dokładną charakterystyką mojego politycznego przewinienia, którym była przynależność do Armii Krajowej oraz informacjami o wcześniejszych pobytach w różnych łagrach. Moje osobiste rzeczy, nuty, skrzypce, musiałem oddać do obozowego magazynu. Taki tu porządek! W baraku różni ludzie, Rosjanie, Ukraińcy, Litwini, Łotysze oraz inne narodowości. Dostaję miejsce na piętowych narach. Zostałem powiadomiony o wyjściu na drugi dzień z brygadą do tajgi. Brygada zajmuje się trzebieniem lasu. Potężne sosny. Mnie na wstępie polecają odbierać i odpiłowywać gałęzie ze ścinanych drzew. Nie mam wprawy, nie mam pojęcia jak się do tego zabrać. Piła ręczna niezbyt ostra. Praca trwa około dziewięć godzin. Zmordowany wracam z brygadą do obozu. Oczywiście jak zawsze w takim wypadku przy wejściu czwórkami obmacują nas, czy nie wnosimy jakichś narzędzi. Jest to strasznie upokarzające ale taka tu norma i nie dziwi już ona moich współtowarzyszy. Noc spędzam na rozmyśleniach jak będzie dalej, co mnie tu czeka, czy podołam tak ciężkiej pracy fizycznej przy słabym odżywianiu. Modlę się i polecam swój los Bogu!

Na drugi dzień jestem wezwany do „nariadczyka”. Jest to osoba zajmująca się organizowaniem roboczych brygad, obliczaniem wykonanej przez nie normy. Coś w rodzaju więźnia sprawującego pewne kierownictwo w łagrze. Jestem wypytywany o mój obozowy staż, czym się zajmowałem, gdzie byłem. Interesuje go moja praca w teatrze. Podobno po uzgodnieniu ze strażą obozową, jej komendanturą, mam zostać kimś w rodzaju strażnika pilnującego, by w obozie nie było pożaru. Nie będę nocować w barakach zamykanych na noc, lecz mam obchodzić obóz i obserwować czy gdzieś się nie pali. Nie wolno mi podchodzić do ogrodzenia obozu, bo wówczas strażnik na „wyżce” (wieży strażniczej)

ma prawo strzelać. Zostaję umieszczony w baraku-świetlicy, gdzie na scenie ustawiono drewniane nary. „Nariadczyk” jednocześnie okazał się miłośnikiem gry na gitarze i poinformował, że do moich obowiązków będzie należało organizowanie zespołu artystycznego, w którym on będzie mi akompaniował na gitarze. Obok sceny w świetlicy, którą nazywano „krasnyj ugołok” (czerwony kącik) znajdował się pokój, w którym była mała biblioteka, dokąd przenieśliśmy zwrócone mi z magazynu skrzypce i nuty wraz z kilkoma książkami.

Znowu opieka Matki Boskiej. Okazało się, że w magazynie pracuje jako „kaptior” (magazynier) rosyjski Żyd o nazwisku Stern, który miał bardzo ciekawą przeszłość. Z biegiem czasu opowiadał mi o niej. Był kiedyś w Polsce jako członek sowieckiej placówki dyplomatycznej (ambasady?). Znał wielu Polaków, również kilka słów po polsku. Poczuliśmy do niego sympatię. Opowiadał, że był w Hiszpanii i znał gen. Karola Świerczewskiego, dla mnie postaci wówczas nic nie mówiącej. Od nariadczyka dowiedziałem się, że Stern pisał w obozie pracę na temat techniki walk w warunkach miejskich. Był kiedyś wysokiej rangi sowieckim oficerem. Co dwa miesiące przyjeżdżali do niego jacyś oficerowie z Moskwy i odbierali kolejne fragmenty pracy. Stern podobno po powrocie z Hiszpanii skrytykował pewne „porządki” w ZSRR, co kosztowało go 10 lat pozbawienia wolności i osadzenia w łagrze. Na nic zdały się wcześniejsze jego zasługi. Spotykałem w łagrach wielu podobnych do niego ludzi, którzy w systemie sowieckiej polityki, gospodarki czy kultury odgrywali przed uwięzieniem znaczącą rolę, należących do różnych grup społecznych ze znacznym zakresem dostępu do dóbr materialnych. Spotykając się z takimi zjawiskami nabrałem przekonania, że jedną z przesłanek stabilizacji systemu władzy sowieckiej było skazywanie ludzi na łagry, by tam wyzbywali się nieprawomyślności, często też obwinianych za czyny nie popełnione, tak na wszelki wypadek by ludzie czuli, że władza czuwa! W Czunie skomponowałem utwór na skrzypce (Walc Fantazje), której aranżację opracował będący w obozie Czech o nazwisku Vettik, grający na gitarze.

Nadchodzi Boże Narodzenie. Jestem sam. Brak kontaktu z rodziną. Znowu rozmyślam o wigiliach na wolności. Tak los mój jest w rękach władz obozowych. Trzeba więc będzie przeżyć kolejny rok w niewoli, przeżyć samemu z dala od bliskich. Takie ogólne refleksje wzbudziła we mnie ta samotna wigilia, podczas której starałem się wygrzebać z pamięci jakieś wyraziste obrazy poprzednich wigilii na wolności. Niesporo mi to szło, bo umysł zajęty był rozmyślaniami co będzie dalej? A przecież na drugi dzień po tej mojej prywatnej wigilii był normalny łagrowy dzień pracy. Na nic więc rozmyślania o rzeczach utraconych, o ciepłym domu rodzinnym i kolędowych pieniach. Wystarczyło tych już siedem lat włączenia się po obozach, by utracić tę świeżość pamięci

czasów sprzed aresztowania na rzecz zatroskania o dni kolejne w obozowym środowisku. Och, trudno było się z tym pogodzić.

Tak rozpoczyna się 1952 rok. Surowa zima. Brygady wyprowadzane do roboty mają zmniejszony czas pracy z uwagi na długą noc, która zaczyna się wcześniej, jednak nie tak jak za kołem podbiegunowym. Strażnicy ograniczają obszar, na którym więźniowie pracują. To powoduje wypadki. Ludzie zostają ranni od padających drzew i gałęzi. Konwojenci rozpalają sobie ogniska, a więźniowie tylko sporadycznie mogą się do nich zbliżyć. To strefa zarezerwowana dla naszych nadzorców. Im ma być ciepło i tylko od czasu do czasu, któryś z więźniów przywoływany jest by przyniósł kolejną wiązkę gałęzi. Raz wydarzył się śmiertelny wypadek. Trupa umieszczono w małym budynku przy „wachcie” (wartowni), gdzie znajdowała się m.in. ręczna pompa do pobierania wody w razie pożaru. Po paru dniach przyjechała komisja dla zbadania wypadku. Miała zrobić sekcję zwłok. Jednak trup był tak zamrożony, że dokonali jedynie otwarcia klatki piersiowej przy użyciu toporka. Życie jest okropne. Zwłoki wywieziono gdzieś do tajgi owinięte jakimś szmatami, i nie wiem nawet, czy w dokumentach zapisane było miejsce pochówku. Takie tu są cmentarze. Był człowiek nie ma człowieka, ciało jego zawleczone gdzieś w tajgę skrywa ziemia, a może i po pewnym czasie rozszarpia go wilki lub niedźwiedzie. Bywa i tak, że ciała zastrzelonych podczas ucieczki więźniów przywożone są do obozu i pozostawia się je na dzień lub dwa przy głównej bramie przez którą wychodzi się do pracy. Widok to nieprzyjemny i obliczony jest na zastraszenie wszystkich potencjalnych uciekinierów by zapisał się on w ich świadomości, że taki jest koniec szukających wolności, zwłaszcza że nieraz widać na zwłokach wyraźnie ślady kul lub psich zębów. Obraz to nieprzyjemny dla wszystkich, ohydny nadmiar szykan przy jednocześnie obrzydliwym braku jakichkolwiek znamion szacunku dla martwych ciał, grzebanych gdzieś w ziemnych dołach opodal obozu a w zimie w płytkich jamach pod rozgarniętym śniegiem. Gdy śnieg stopi się, ciała rozszarpywane są przez leśne zwierzęta. Koszmar! Ale w tej codziennej walce o przetrwanie jakiemuś niezrozumiałemu rozluźnieniu ulega podstawowa łączność między cierpieniem innych, a światem osobistej walki o zachowanie życia. Zatem umieranie tutaj skazane jest na łaskę niepamięci. Trudne to do opisu ze względu na zamglone już wspomnienia moich łagrowych doświadczeń ale ważne, głębokie, nie ograniczające się do samego faktu umierania, lecz także do głębszej refleksji nad tym zjawiskiem. Ta w naszej kulturze sfera sacrum została tutaj na zesłaniu wyraźnie sprofanowana, tak jak wiele innych elementów ludzkiego życia i bytowania.

Pod koniec czerwca dostaję kolejnego towarzysza niedoli Łotysza Stanisława Pelsze. Jest artystą plastykiem i zostaje razem ze mną nocnym strażnikiem. Mieszkamy razem na scenie na drewnianych narach na

siennikach wypełnionych trawą i mchem. Staszek okazuje się sympatycznym mężczyzną. Łudzę się, że razem będzie nam raźniej. Był kiedyś w partyzantce na polskich terenach i zna trochę nasz język. Powoli przyzwyczajamy się do siebie, zajęci nowymi obowiązkami – jak przygotowywaniem jakiegoś wieczoru muzycznego ona pracami plastycznymi. Dostał nawet materiał na hasła propagandowe „łożungy”, które przygotowuje zapewne wbrew własnemu przekonaniu o słuszności ich treści, bez pokrycia z rzeczywistością panująca w kraju przodującego socjalizmu, jak często słyszeliśmy od swoich nadzorców. We wszystkich łagrach przez które przechodziłem, prowadzona była szeroka propaganda ustna przez straż obozową, kapusiów, nariadczyków i innych kierowników budów, brygad itp. na temat osiągnięć ustroju komunistycznego, zwycięstw politycznych i ekonomicznych w Kraju Rad. Jednocześnie na terenie łagrów znajdowały się tablice z wykresami obrazującymi postęp techniczny przodujących brygad i tzw. przodowników pracy. Oczywiście pełno było haseł politycznych. Te tzw. „łożungy” malowali plastycy lub ludzie mający talent do czytelnego kreślenia haseł. Takim był też Staszek z którym przez pewien czas mieszkalem.

Spostrzegam jednak po pewnym czasie, że Staszek jest jakiś ponury, smutny. Czuję, że nie jest ze mną szczery. Coś go trapi. Może tęsknota do wolności i bliskich, a może jakieś inne problemy, o których nie chce mówić. Mieszka się nam przyjaźnie, rozmawiamy o obozowej codzienności, nie wdając się w rozważania o tym co nas przywlokło do tego obozu. Tak upływają kolejne dni. Jakoś się układa. W każdym jednak tkwi nadzieja wolności, mimo różnych splotów obozowego życia. Bo czyż można oddzielić to, co było naprawdę w tych obozowych realiach, od marzeń i zamglonych przez czas wspomnień. Październik. Pewnego dnia wracam ze stołówki z kolacji do miejsca naszego noclegu i zastaję rozwalone sienniki, wyrzuconą z nich trawę. Po naszym „mieszkanku” w świetlicy porozrzucone moje książki i nuty. Wszystko w nieładzie. Zastanawiam się czy to uczynili złodzieje, czy też była rewizja. Nie ma też Staszka. Zapewne jeszcze nie wrócił z kolacji? Idę więc do nariadczyka z pytaniem, co się stało? Ten zupełnie zmienił swój stosunek do mnie. Stał się bardzo oficjalny, nie chciał rozmawiać. Wobec tego poszedłem do magazyniera Sterna. I tu ten sam oziębły stosunek. Stwierdził, że coś się stało i muszę być ostrożny. Nie chciał ze mną również rozmawiać. Byłem bardzo zaniepokojony. Dowiedziałem się, że Staszka zabrał konwój wraz z jego rzeczami. Tak minęło kilka dni. Wieczorem zostaję nagle wezwany do nariadczyka i otrzymuję polecenie abym się „zebrał” tj. spakował swoje rzeczy. I tak kolejny etap „sobierajsia z wieszczami” (zbieraj się z rzeczami). Każda zmiana obozu to wielka niewiadoma. Człowiek przyzwyczaja się do otoczenia, ludzi i

nagle wszystko się zmienia. Czy zachowam swoje rzeczy? Czy mnie nie okradną?

Wychodzę z terenu obozu. Prowadzi mnie „pod karabinem” konwojent z psem i oficer NKWD. Doprowadzają do jakiegoś domu, w którym mieszka towarzyszący oficer. Zakładają mi na ręce kajdanki (przy większym ruchu rąk zaciskają się). Oficer powiadamia mnie, że tu będę nocować, a na drugi dzień zostanę przewieziony do innej miejscowości. Mam ze sobą walizkę z rzeczami, nuty i skrzypce. Zostaję przed noclegiem wyprowadzony do „ubornej” (ubikacji), a następnie dostaję polecenie położenia się spać w kajdankach na jakimś stole w pokoju. Na drugi dzień dostaję na śniadanie dwie kromki chleba i garnuszek mleka. Jestem zaskoczony i wzruszony. Mleka nie widziałem przez tyle lat. Dostaję również jajecznicę. Jestem zdumiony dobrocią żony mojego konwojenta. Zostaję odprowadzony przez lejtnanta do pociągu osobowego. Ludzie patrzą ze zdumieniem i strachem. Może to morderca? A ja rozmyślam nad tym czy może zostanę nareszcie zwolniony z obozu i powrócę do kraju? Może starania rodziców poskutkowały? Nie rozumiem tej nowej tak nagle zaistniałej dla mnie sytuacji. Na przekór tym złudzeniom uciekam myślami i wzrokiem do krajobrazu i świata przyrody, który dostrzegam z okien pędzącego pociągu. Konwojent nie jest absorbujący i pozwala mi na obserwowanie mijanych terenów. Wprawdzie trudno o przyjaźń z nim i staram się zrozumieć jego obowiązek pilnowania mnie i dowiezienia do celu. Ciągle jednak zastanawiam się dokąd jestem transportowany? Mijają godziny niepewności, a wraz z nimi kolejne kilometry drogi w nieznaną. Wprawdzie w przedziale wagonu jesteśmy sami – ja i konwojent, ale od czasu do czasu spostrzegam lichy ubranych ludzi przemykających korytarzem. Wydają się mi szarzy i nijacy, którzy podobnie jak ja starają się podpatrzeć z okien wagonu otaczający nas pejzaż.

Wysiadamy na stacji Tajszet, tej samej do której byłem już raz przywieziony z Igarki. Wiem, że w tej miejscowości jest obóz z lżejszą pracą, z którego ludzie wychodzą na wolność. O dziwo jestem wprowadzony do jakiegoś specjalnego budynku, podwójnie ogrodzonego kolczastym drutem, z wartownikiem. Okazuje się, że jest to więzienie. A więc będąc w łagrze, dostałem się do więzienia? Nic nie rozumiem. Każą mi się rozebrać, przeglądają dokładnie moją bieliznę i odzież, odbierają pasek, sznurowadła, wszystkie rzeczy, w tym instrument. Zostaję wprowadzony do celi, w której znajduje się dwóch mężczyzn. Ukraińiec i Rosjanin. Ten ostatni nieprzyjemny. Wyczuwam w nim kapusia. Pierwsze rozmowy, jestem bardzo ostrożny w swoich wypowiedziach, znając zasady zachowania się w więzieniu po lwowskich doświadczeniach. Nie mam pojęcia dlaczego się tu znalazłem. Zresztą czy to jest ważne, tutaj jeśli władza chce, to nawet niewinnemu człowiekowi przedstawia zarzuty, które legną u podstaw skazania go.

Mimo tej świadomości rozmyślałem nocą co będzie dalej. Dlaczego się tutaj znalazłem? Sen mam przerywany, bo myśl ta obsesyjnie do mnie powraca.

Na drugi dzień Ukrainiec wyjaśnia swój pobyt w więzieniu. Włączył się do ucieczki z jakiegoś łagru z dwoma Rosjanami, rzekomo białogwardzistami. Uciekali kilka dni omijając ludzkie osiedla, jednak głód zmusił ich do zatrzymania się w jakiejś osadzie. Podeszli do oddzielnie stojącego domu na skraju wsi. W domu była sama dziewczyna. Rodzice jej byli gdzieś daleko w pracy. Zostali nakarmieni, nawet przenocowali i ruszyli w dalszą drogę. Jednak aby dziewczyna ich nie wyspała, zabili ją. Była piękna i miała długi warkocz. Ukrainiec odciął warkocz i wziął go na pamiątkę. Jednak pościg dopadł ich i w ten sposób mój współwięzień znalazł się w celi. To była straszna opowieść. Jak dramatyczna jest sowiecka rzeczywistość. Ile koszmarnych zdarzeń. Drugi współwięzień, czyli wspomniany poprzednio Rosjanin, zapytał mnie czy znałem Łotysza Stanisława Pelsze. To mnie zaintrygowało i zaniepokoiło. Coś w tym jest pomyślałem przypominając sobie rewizję w naszej wspólnej kwaterze. Muszę trzymać się na baczności. Opowiedziałem o mej krótkiej znajomości ze Staszkiem, nie wypierając się jej, podkreśliłem jednak po wielokroć, że poznaliśmy się przypadkowo, że on był dekoratorem w poprzednim łagrze, w którym ja zajmowałem się opracowywaniem programów imprez poświęconych np. rocznicy Rewolucji Październikowej. Rosjanin ów wspominał ciągle o Staszku i w ciągu kilku dni nawiązywał do jego osoby. Coraz bardziej uświadamiałem sobie, że jest on nasłanym kapusiem!

Nie miałem jednak pojęcia, co moja krótkotrwała znajomość ze Staszkiem może mieć coś wspólnego z pobyt w więzieniu. Mało tego, że byłem w łagrze, to jeszcze znalazłem się w więzieniu. Zażądałem od strażnika więziennego papieru i coś do pisania i napisałem do komendanta więzienia, czy prokuratora, już nie pamiętam którego – wezwania mnie do wyjaśnienia, dlaczego znalazłem się w więzieniu. W ciągu kilku dni przebywania w celi współwięzień Rosjanin coś napomknął, jakoby S. Pelsze zamieszany był w jakiś spis. Powiedziałem, że jest to niemożliwe. Staszek był spokojnym człowiekiem i nigdy nie wspominał mi o jakimkolwiek spisku. Minęło około dwu miesięcy pobytu w więzieniu i nagle zwolniono mnie bez żadnego śledztwa, ani wezwania do prokuratora czy komendanta więzienia. Zwrócono mi wszystkie rzeczy, nawet „Cztery Ewangelie” za wyjątkiem rodzinnych fotografii, które otrzymywałem stopniowo od rodziny przez Lwów. Zostałem skierowany do obozu „przesylnego” w Tajsze. Był to już szósty obóz, nie licząc więzienia, w którym się znalazłem. Ciekawe – nie przydzielono mnie do żadnej brygady, wahałem się po obozie szukając Polaków. Kilku znalazłem. Zacząłem u nich bywać opowiadając dziwną sytuację, że jestem trzymany bez przydziału pracy. Po jakimś czasie chłopcy ostrzegli mnie, że jestem

śledzony. Zapewne obserwowano, z kim utrzymuję kontakty. Rodacy wspomagali mnie czasem „pajką” chleba, jakąś rybą, a stolarze zrobili niewielką walizeczkę, abym miał na nuty. W międzyczasie przez obóz przejechał transport więźniów z jakiejś kopalni, gdzie wydobywali rudę promieniotwórczą. Kilku z nich poznałem, widząc ich chyba przed rokiem. Wyglądali okropnie. Bez zębów, łysi, chorzy, chodzące szkielety. Jak nie dziękować Bogu, że tak mnie chronił. Męczyła mnie świadomość niepokoju rodziców, co się ze mną dzieje? Tak długo nie dawałem żadnej wiadomości o sobie. Moje rzeczy po skierowaniu do tego obozu musiałem przekazać do „przechowalni” – magazynu. Przypomniałem sobie, że oprócz fotografii zabrano mi również całą rodzinną korespondencję. Widocznie szczegółowo czegoś szukano. Jak w każdym obozie, tak i w tym istniała cała szajka kapusiów, pod których obserwacją widocznie byłem i ja. Bo jakże mogło być inaczej skoro podejrzewano mnie o bliższe kontakty ze Staszkiem, który zniknął pewnego dnia z obozu w którym przebywaliśmy. Starłem się więc być ostrożny, bo jakoś podświadomie odczuwałem, że jestem obserwowany i prowokowany do „przyjacielskich” rozmów. A ponadto miałem wiele zbyt smutnych dowodów z przeszłości jak takie „gadulstwo” kończyło się dla niektórych więźniów. Nie wchodziłem więc w bliższe relacje ze współwięźniami, czekając co do dalszych rozstrzygnięć dotyczących mojego losu.

Wreszcie zostałem zakwalifikowany do kolejnej zmiany obozu. Przewieziono mnie stosunkowo niedaleko, ponownie bowiem trafiłem do miejscowości Czuna, ale już nie do tego obozu, w którym przedtem byłem, ale do drugiego, w którym znajdował się kombinat drzewny w skrócie DOK („Dierewo Obdzielocznyj Kombinac”). Zostałem przydzielony do brygady, która zajmowała się budowaniem domów z wyprodukowanych w kombinacie części według fińskiego schematu. Łagier do którego mnie przydzielono był łagrem „specjalnym”. Więźniów zamykano na noc, okna w barakach były zakratowane, odczuwało się ostrzejszy reżim. Podobno przed nami byli tu katorżnicy. Stąd większa ilość „wyżek” z silnymi reflektorami. Dokładnie nas liczone przy wychodzeniu i powrocie z pracy do zony, przy jednoczesnym obszukiwaniu, aby ktoś nie wynosił chleba, bo mogłoby to wzbudzić podejrzenie, że przygotowuje się do ucieczki. W barakach też często przeszukiwano naszą pościel, czy ktoś nie magazynuje prowiantu, co nie było łatwe przy skromnym wyżywieniu. Jak zawsze miejsce miałem na górnych jednopiętrowych narach, bo tam w zimie cieplej. Współwięźniowie raczej nieprzyjemni. Większość Rosjan, Ukraińców, ludzie z różnych narodowości Związku Radzieckiego, często ze skośnymi oczyma. Każda brygada chodziła razem na posiłki, ustawiając się z blaszaną miską w kolejce do kucharza, który według własnej woli nalewa więcej czy mniej rzadkiej zupy, jakiejś kaszy, czy kawałek ryby. Co dziesięć dni chodziliśmy do łaźni, raz w miesiącu strzyżono głowy i wszelkie obrosnięte miejsca maszynką by nie zagnieździły się wszy.

Jakkolwiek Czuna nie była położona na dalekiej północy, tym niemniej mrozy dochodziły do -40°C . Klimat suchy, kontynentalny, nie pamiętam takich zamieci „purg” jak na północy. Wśród więźniów byli członkowie jakiejś sekty, której nie wolno było pracować w soboty. Na skutek odmowy pracy zamykano ich do tak zwanego BUR-u (barak „usilenowo reżima”) barak zaostrego reżimu, gdzie otrzymywali zmniejszone racje żywienia. Był to rodzaj więziennego karceru. Stamtąd wyprowadzano ich wprost do roboty, co powodowało, że często osłabieni opadali z sił. Współczułem tym ludziom opadającym z sił ale jakże mocno tkwiącym w przekonaniu, że zachować należy zasady norm ukształtowanych przez sektę do której należeli na wolności. Z tego stanu ich ducha wylęgały się te postanowienia, od których nie odstępowali mimo kar, które były na nich nakładane.

Kombinat przerabiał przywożone z tajgi sosny, modrzewie, cedry. Przywożone drewno pociągami towarowymi przerabiane było przez specjalne maszyny produkcji fińskiej. W poszczególnych wydziałach produkowane były ściany domów, podłogi, sufity, ścianki działowe, krokwie na więźbę dachową, gonty. Jak się później dowiedziałem, w kombinacie pracowało ponad dwa tysiące ludzi, w tym również kadra kierownicza wywodząca się z „wolnych”. Początkowo moja praca polegała na przygotowaniu przywożonego mchu, który następnie nosząc na specjalnych nosilkach wciskałem drewnianą łopatką pomiędzy belki, by nie było żadnych szczelin. Po paru godzinach pracy ręce mi opadały. Co pewien czas można było podjeść do specjalnie rozpalonego ogniska aby się ogrzać. Ciekawa była konstrukcja takiego domu. Belki specjalnie uformowane przez maszyny, z góry półokrągłe, z dołu wklęsłe, nachodziły jedna na drugą, wewnątrz miały otwory, w które wbijaliśmy okrągłe, specjalnie wykonane przez maszyny drągi. One trzymały całą ścianę łącznie z narożnymi, specjalnie nacinanymi narożami. Podobnie jak w góralskich chatach. Poprzeczne belki utrzymujące sufit, wzmacniały konstrukcję ścian. Gdy ściany były dokładnie uszczelnione mchem, przybijaliśmy ukośnie wewnątrz wąskie około metrowej długości listwy, krzyżujące się ze sobą. Na nie „murarze” rzucali zaprawę, tworzącą swego rodzaju tynk. Powstające budynki miały być częścią nowego osiedla dla mających przybyć wolnych robotników.

Po kilku miesiącach zostałem przeniesiony do innej części obozu, gdzie był już lżejszy reżim, a mieszkali w niej robotnicy pracujący w kombinacie. Codziennie brygady musiały przechodzić przez dwie bramy. Jedna wychodząca z obozu, druga wprowadzająca do kombinatu. Wchodziliśmy czwórkami, rzadko ósemkami. W tym drugim przypadku liczenie nas trwało dłużej. Zostałem przydzielony do brygady, która obsługiwała maszyny wytwarzające belki ściennie. Ogromny huk, pył, ale jednocześnie zapach żywicy z przerabianego drewna.

Po paru dniach zostałem wezwany do kierownika obozu, który pytając czy jestem skrzypkiem, dał mi przydział do baraku, w którym jak się okazało mieszkali artyści niewielkiego zespołu muzyczno-dramatycznego. Tak rozpoczął się kolejny rozdział mojej obozowej wędrówki. Kierownikiem zespołu był Ormianin. Zespół muzyczny liczył 16 osób, w tym dwu słabszych skrzypków, muzycy z dętymi instrumentami. Wszyscy pracowali w kombinacie, ale wieczorem mieliśmy próby. Nasze stanowiska pracy były łżejsze. Ja zostałem przydzielony do straży pożarnej. Do obowiązków moich należało pilnowanie, by nie było żadnego zagrożenia pożarowego. W halach produkcyjnych nie wolno było palić. Zaznajomiono mnie z działaniem gaśnic przeciwpożarowych, rozłokowaniem skrzyń z piaskiem do gaszenia ognia, zbiornikami wody. Z biegiem czasu musiałem przejść przeszkolenie obsługiwania hydrantów, podłączania węży, wysuwania drabin przeciwpożarowych na dachy, wbiegania na nie i tym podobne. Musiałem przechadzać się po halach, jednak po próbach orkiestry trwających często do późnych godzin, w ogrzewanych halach produkcyjnych brała mnie drzemka. Było to niebezpieczne, gdyż od czasu do czasu przechodził strażnik sprawdzający czy wszystko jest w porządku. Mogłem stracić „ciepłe miejsce”.

W czasie rozmów z współwięźniami odszukałem Polaków. Było ich kilku. Najbardziej zaprzyjaźniłem się ze Stanisławem Dakiniewiczem (późniejszym autorem książki pt. *Więzień 303*, wydanej we Wrocławiu we wspomnianej już oficynie „Biblioteka Zesłańca”, założonej i redagowanej przez prof. dr hab. Antoniego Kuczyńskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego). Stanisław pochodzący z Troków, były żołnierz Armii Krajowej pełnił funkcję kierownika produkcji w jednej z hal. Współpracował z nim Stanisław Łunkiewicz. Z nimi najczęściej utrzymywałem kontakt, przychodząc czasami do ich baraku ze skrzypcami. W obozie byli również Kazimierz Waśniewski, pełniący funkcję kucharza i ze Śląska Franciszek Wolski. Wigilię spędziliśmy w baraku S. Dakiniewicza we czwórce. Staszek czasem dostawał paczkę od rodziny. Ja chyba od dwóch lat nie miałem kontaktu ze Lwowem i tym samym z rodzicami. Okazało się, że w obozie jest jeszcze polski lekarz Tadeusz Zieliński, z Krakowa. Był na specjalnych względach, jako ginekolog wzywany poza obręb zony do rodzących „wolnych” Rosjanek. Doktor przeprowadzał również operacje w swoim obozowym szpitaliku. Złamanie rąk, ślepa kiszka itp. Więźniowie bardzo go szanowali. Niestety kontakt z nim był bardzo rzadki. Wśród naszej polskiej grupy był również Leon Łoś, który po powrocie do kraju pracował na kierowniczym stanowisku w Pałacu Kultury w bibliotece PAN. Nasze wzajemne kontakty nie były za częste, gdyż wiadomo było, że wśród więźniów są, jak w każdym obozie, kapusie, którzy donoszą wszystko do niebezpiecznej osoby mającej swój wewnętrzny wywiad Radionowa.

Pełnił funkcję „operupelnomoczennowo”, czyli obozowego politruka NKWD.

W czasie rozmów z rodakami opowiadałem im o moim pobycie w więzieniu w Tajszece, w związku z znajomością ze Staszkiem Pelcze. I wówczas dowiedziałem się, że w obozie tym powstała siatka amerykańskiego czy angielskiego wywiadu, której przewodniczył więziony tam węgierski baron. Jeden z Węgrów z tej siatki wyszedł na wolność i wracając do swojej ojczyzny wpadł na Ukrainie w jakąś awanturę. Został aresztowany, szczególnie go przeszukano i znaleziono przy nim wywiadowcze materiały. Po nitce do kłębka sowieci dotarli do Tajsztetu i tam podobno w czasie śledztwa stwierdzono, że zamieszany był w kontakty z Węgrami Staszek. Chodziły po obozie słuchy, że został rozstrzelany. Dopiero zrozumiałem w jakim byłem niebezpieczeństwie siedząc w Tajszece w więzieniu.

Pewnego razu lejtnant opiekujący się grupą artystów zapytał mnie, czy umiem grać na mandolinie. Gdy potwierdziłem, prosił o uczenie go na tym instrumencie. Nauka odbywała się w domku znajdującym się w środku obozu, w którym był obozowy główny hydrant przeciwpożarowy. Dzięki tej nauce miałem zezwolenie od czasu do czasu nocować w tym domku. Były to rzadkie chwile mojej osobności, tak ważne, gdy stale człowiek znajdował się w tłumie ludzkim, zwłaszcza wśród obcych narodowości. Mogłem uklęknąć i odmówić pacierz. Niestety kontaktu z domem nie miałem. W międzyczasie zaczęły coraz bardziej dokuczać mi zęby, które od urodzenia miałem słabe. W obozie był Ukrainiec ze Lwowa, technik dentystyczny, który otrzymywał z domu paczki i leczył chorych. Kiedy zwróciłem się do niego o pomoc przyznał, że ma skrzypce, na których marzy żeby ktoś go nauczył grać. Podjąłem się tego i za darmo byłem leczony. Umiał usuwać zęby, mnie chciał zmontować mostek z przodu szczęki, do tego musiał usunąć korzeń. Wybijając go dłutem przebił mi dziąsło tak, że przez dłuższy czas nosem wychodził mi płyn, czy rzadka kasza. Na szczęście po dłuższym czasie wszystko się zrosło.

Mój niepokój o wiadomości od rodziny wciąż wzrastał. Wigilię i Nowy Rok spędziliśmy z rodakami i tak rozpoczął się już 1954 rok pobytu w łagrach. Pamiętałem o informacji władz, że za pracę za kołem podbiegunowym liczone nam „zaczoty” czyli zaliczenia z uwagi na trudne warunki klimatyczne, za jeden dzień – trzy dni odbywania wyroku. Liczyłem, że w 1954 roku powinienem wyjść na wolność. Na przełomie stycznia – lutego zostałem wezwany do komendy obozu z informacją, że w ciągu kilku dni zostanę przewieziony do Krasnojarska, skąd będę zwolniony. Nic mi nie powiedziano, czy będę mógł wrócić do kraju. W lutym pod specjalnym konwojem, ale bez psów odstawiono mnie do więziennego wagonu i pojechałem znów w nieznaną. Pożegnanie w obozie z rodakami i muzykami było serdeczne. Grupę więźniów przeznaczonych

na wolność przywieziono do ogromnego więzienia w Krasnojarsku. Umieszczono nas w takich celach, gdzie nie grozili nam złodzieje. Nawet były żelazne łóżka z siennikami. Zostałem wezwany do jakiegoś śledczego, który oznajmił mi, że na skutek „zaczotów” minął okres pobytu w łagrach i wychodzę na wolność. Jednocześnie przeczytał odpowiedni dokument z zakończeniem – że jestem skazany na dożywotnie zesłanie do Krasnojarskiego Kraju. To mnie zaskoczyło. W wyroku jaki otrzymałem we Lwowie nie było wzmianki o dożywotnim zesłaniu. Śledczy chciał abym podpisał ów wyrok. Nawiązałem do moich informacji, że o powrót do Polski starają się moi rodzice i w tej sytuacji nie mogę podpisać zgody na zesłanie. Przeszkodzi mi to w powrocie do ojczyzny. Śledczy stwierdził, że innego wyjścia nie mam i albo zostaję w łagrze, albo pójdę na zesłanie. Dał mi dwa dni do namysłu. Miałem dość zamknięcia i braku kontaktu z domem. Po dwóch dniach podpisałem zgodę na zesłanie. Na drugi dzień wyprowadzono mnie z grupą więźniów na tak zwaną wolność. Zakończył się okres mojego pobytu w więzieniach i łagrach. Przez tyle lat byłem pod jakąś szczególną Bożą opieką.

Zesłanie

6 luty 1954 roku opuściłem ponury budynek więzienia w Krasnojarsku. Długie korytarze, strażników z dzwoniącymi kluczami i ordynarnymi wyzwiskami, cele z brudnymi, porysowanymi ścianami. Chyba cała tragiczna i ponura przeszłość tysięcy ludzi, z których zapewne wielu kończyło tu swój kres. Już poza więziennymi murami świeże ostre powietrze wcisnęło się w płuca. Grupa 45 osób została dostawiona do pociągu. Już wagon osobowy, bez krat. Z nami „opiekun”, który ma nas dowieźć do niewiadomego miejsca przeznaczenia. Ma ze sobą całą torbę naszych dokumentów. Jazda pociągiem trwała chyba dwie godziny, na wschód od Krasnojarska. Stacja Kańsk. Małe miasteczko. Czekają dwa ciężarowe samochody ZIL-y. Silny mróz około -30°C . Wsiadamy na paki, przygotowane drewniane ławki. Jest wśród nas kilkanaście kobiet. Wszyscy mają worki ze swoimi rzeczami, ja dwie walizki (na nuty i skrzypce). Zasłaniamy się jak możemy od pędu powietrza. Jedziemy po zaśnieżonej drodze 112 kilometrów. Wsiadamy w miejscowości Dołgij Most (Długi Most). Jest to odpowiednik naszego powiatu. Parterowy budynek z typowo rosyjskim gankiem i tablicą czerwoną NKWD. A więc wciąż ta sama agenda. Wchodzimy do pomieszczenia przemarznięci. Nasz „opiekun” z Krasnojarska przekazuje dokumenty i miejscowa „władza” sprawdza naszą tożsamość. Dostajemy kąpiatok, po „pajce” chleba i wyruszamy pieszo do nieznanego nam miejscowości Perspektywnoje. Na nasze bagaże są podstawione sanie, my zaś brnąc w śniegu idziemy za nimi. Po drodze mijamy jakąś dużą osadę, jak się później okazało był to kołchoz o nazwie Łazariewo. Po drodze przypomniałem sobie dzień 5 marca ubiegłego roku, kiedy byłem w łagrze w Tajszecie. W obozowym „kołchoźniku” (głośniku) żałobna muzyka zmarł Stalin. Dniewalny w naszym baraku zapłakany. U wszystkich poważne miny, ale w oczach

większości więźniów wieloznaczne spojrzenia. Wśród nas Polaków był szczególnie nastrój. Czekaliśmy tak długo na ten moment w naszym życiu więziennym. Może wreszcie wraz z tą śmiercią nastąpi jakaś pozytywna zmiana?

Ciągle jednak brnęliśmy w śniegu, marsz wydawał się bardzo długi. Zapadał zmrok, aż dotarliśmy do Perspektywnego. Tam nas policzono, dostaliśmy porcję gorącej kaszy, kipyatok, porcję chleba i kazano nam przespać się na podłodze w stołówce. To nie był nasz docelowy punkt wędrówki. Grupę naszą prowadził kierownik miejscowego urzędu administracyjnego z Łoboskoje, gdzie mieliśmy się osiedlić, było to jeszcze 15 km dalej w głąb tajgi. Oczywiście dalszy marsz piechotą. Przy wyjściu z Perspektywnego nastąpiła rozmowa pomiędzy kierownikiem dużego osiedla Perspektywnoje a tym, który nas prowadził dalej, aby pozostawiono mnie jako muzyka, w tej miejscowości, gdyż tu właśnie wybudowano nowy dom kultury, gdzie mógłbym zostać zatrudniony. Kierownik Łoboskoje nie zgodził się na to twierdząc, że w jego miejscowości też będzie dom kultury. Tak więc razem z całą grupą dalej brnąłem po śniegu w niewiadome.

7 luty 1954 rok – Łoboskoje. Tu rozpocząłem zesłanie. Miejscowość niewielka, liczy aż 5 domów. Dom kierownika osiedla, „bania” (łaźnia), budynek z narzędziami i baraki mieszkalne ze świeżego drewna, pachnące jeszcze żywicą, z przepierzeniem. Z jednej strony mężczyźni, z drugiej kobiety. Wzdłuż baraku długie nary pokryte siennikami z trawą. Leżeliśmy pokotem jeden koło drugiego. Prawdziwa „wolność”. Według informacji kierownika warunki takie tymczasowe, do chwili wybudowania dalszych domów mieszkalnych. Zwalone duże kłody drzew miały świadczyć o przyszłym budownictwie. W dalszych planach przewidywano, że po zbudowaniu osiedla jego mieszkańcy będą zajmować się żywicowaniem. Na razie pierwszy dzień pobytu w osiedlu uznano jako wolne, na zagospodarowanie się. Ogłoszono nam, że możemy pisać listy, które raz w tygodniu będą dowożone na pocztę w Długim Moście. Od razu wziąłem się za pierwszy list do Lwowa z nikłą nadzieją, że dotrze do adresatów. Naczelnik Łoboskoje poinformował jednocześnie, że możemy pomóc w zbieraniu opału, przynosząc suche gałęzie na rozpałkę. Kto chce może skorzystać z „łyży” (rakiety) by udać się w głąb tajgi. Jednocześnie dotarła do nas wiadomość od mieszkających w osiedlu zesłańców, że kilka dni temu znaleziono w tajdze człowieka rozszarpanego przez rosomaka lub rysia. Należy być ostrożnym. Otrzymałem z magazynu „łyże” (coś w rodzaju krótkich na jakieś 60 cm nart) i puściłem się „na wolność” w tajgę. Byłem w lesie! Całe dzieciństwo spędziłem w polskich lasach. Byłem sam. Modliłem się za zdrowie rodziców, najbliższych, za moją przyszłość, za powrót do ojczyzny. Znalazłem dwa kije i jechałem po skrzypiącym śniegu, przeżywając pierwsze chwile „wolności”.

Zaczęły się robocze dni. Składowane bale drewna sortowaliśmy, przeryzując ręcznymi piłami na określone długości. Specjalnym narzędziem zdejmowaliśmy korę z drzew, zaś mechaniczna piła cięła je na określony kształt, który następnie cieśle toporami obciosywali według potrzebnych wymiarów. Osiedle miało swój agregat dostarczający prąd m.in. dla oświetlenia i uruchomienia mechanicznej piły. Agregat często się psuł. Ciężko mi było wśród mieszkańców „posiołka”. Byłem jedynym Polakiem i przyłapywałem się na tym, że zaczynam nawet myśleć po rosyjsku. W listach do domu używałem czasem rosyjskiego zwrotu. To było niepokojące. Podłączono radiowęzeł. W baraku był głośnik. Wciąż język rosyjski. Aż tu nagle słyszę zapowiedź występu polskiego zespołu Mazowsze i pieśń „Ej przeleciał ptaszek”. Zamarłem. Co za cudowna melodia. Popłynęły mi łzy. Myślami byłem parę tysięcy kilometrów w Polsce. Gdzie moi najbliżsi? Jak bardzo muszą się martwić, nie mając o mnie od paru lat wiadomości.

Tymczasem naczelnik posiołka zwołał zebranie wszystkich mieszkańców i w towarzystwie przyjezdnego oficera NKWD przedstawił warunki obowiązujące zesłańców. Raz w miesiącu należy podpisywać listę obecności. Każdy posiadał odpowiedni arkusz z nazwiskiem i imionami. Nie wolno oddalać się od miejsca zamieszkania w promieniu 30 kilometrów, a w wypadku udania się do urzędu w Długim Moście należy zgłaszać swoją nieobecność. Naruszenie dyscypliny będzie surowo karane, może zakończyć się wyrokiem ponownego osadzenia w łagrze, lub więzieniu.

Nadchodził koniec lutego. Nagle nocą czuję że ktoś szarpie mnie za nogę. „Krawczyński”. „Da” – odpowiadam. „Sobierajsia z wieszczami” – zbieraj się z rzeczami. Ubieram się, biorę dwie moje obozowe walizki; skrzypce. Wyprowadzają mnie z baraku. Byłem przerażony. Co znowu mnie czeka? „Pobystreje” – szybciej, ponaglał strażnik. Przed barakiem stały sanie ciągnione przez małe syberyjskie koniki. Położyłem na nich swój łagrowy dobytek i sam ulokowałem się obok niego. Przywieziono mnie do Perspektywnego. Zamieszkałem w męskim „obszczeżytiu”: budynku mieszkalnym dla mężczyzn. Na drugi dzień wezwał mnie kierownik osiedla informując, że będę pracować w miejscowym domu kultury. – Widocznie kierownik Perspektywnego miał gdzieś tam „na górze wśród naczalstwa” wyższe wpływy od kierownika z Łoboskowo. I tak kolejne miejsce pobytu. Natychmiast piszę do Lwowa o zmianie adresu i poprawie swej doli – Zamieszkałem w pokoju, dla pięciu osób. Wśród nich dwu Ukraińców z lwowskiego województwa, jeden starszy Rosjanin. Ukraińcy niechętnie rozmawiają po polsku, zwłaszcza Andrej. Wysoki, tęgi blondyn, typowy banderowiec. Piet'ka niższy sympatyczny, łatwiej nawiązuję z nim kontakt. Iwan – Rosjanin nie znał języka polskiego, ale przyjął mnie przychylnie. Okazało się, że Ukraińcy otrzymywali z domu paczki żywnościowe i na powitanie poczęstowali mnie wiktuałami. Kiedy

zorientowali się, że jestem muzykiem-artystą, że mam zająć się domem kultury, ich stosunek do mnie jeszcze bardziej stał się sympatyczny. Domek, w którym zamieszkałem oprócz pokoju miał małe pomieszczenie na zbędne rzeczy, w tym łopaty do odgarniania śniegu, kopania ziemi, piłę i inne drobiazgi. Wchodziło się do domu przez „tambur” rodzaj ganku. Z tyłu za domem stał drewniany klozet.

Na środku pokoju stał piec z dużą blachą, na której gotowaliśmy nasze potrawy, mając z łagru skromną gotówkę, którą wręczono mi w więzieniu w Krasnojarsku przy odprawie na zesłanie, kupiłem garnek do gotowania jedzenia, makaron, kaszę jęczmienną, chleb, cukier kawałek masła i nóż. To były pierwsze zakupy na „wolności.” Okazało się że Piet'ka gra na mandolinie. Był zdumiony, kiedy wziąłem instrument i zagrałem. Obiecałem uczyć go nut. Andrej miał swój własny aparat fotograficzny przysłany z domu i dzięki temu mam trochę fotografii, które utrwaliły mój pobyt na zesłaniu. – Początkowo przez pierwszy miesiąc miałem obawę czy kierownik posesji Łoboskowo nie upomni się o mnie, będąc wściekły, że mnie porwano. Na szczęście moje obawy były płonne.

Naczelnik Doks (Żyd) poinformował mnie, że początkowo mam zapoznać się z pracą w tajdze, a w kwietniu zająć się przygotowaniem uroczystości otwarcia domu kultury z okolicznościowym programem. Przez miesiąc zapoznawałem się z przygotowaniem sosen do żywicowania. Dostałem się pod kontrolę majstra (nazwiska nie pamiętam), który miał „żonę” Polkę lub Białorusinkę, stąd miałem u niego pewne względy. Przydzielił mi człowieka do nauki roboty zimowej. Sosny o dużej grubości dochodziły do 1-2 metra średnicy. Od paru lat wykorzystywano je do pozyskiwania żywicy. To było głównym zadaniem istnienia Perspektywnego. Oczywiście jak w Związku Radzieckim był plan, który „posiołek” miał wykonywać. Przygotowanie sosny do żywicowania nie było proste. Najpierw należało oczyścić płaszczyznę drzewa z kory, tworząc prostokąt o wymiarach mniej więcej 70 cm na około 45 cm. Oczyszczenie z grubej kory wykonywało się specjalnym wyostrzonym narzędziem. Należało uważać, aby nie przebić oczyszczonej powierzchni, bo wówczas to miejsce latem wypuściłoby żywicę. Następnie odpowiednim narzędziem wycinało się w środku „kary” (w języku polskim – spały) czyli miejsca z cieniutką korą – głęboki rowek pod którym znów innym narzędziem tworzone wgłębienie, w które młotkiem wbijano tzw. „krompon” czyli półokrągłą z drewna jak gdyby rynienkę, aby żywica mogła po niej spływać. Po obydwu stronach „krompona” pewnego rodzaju przebijakiem robiono otwory w które wbijano dwa kołki. Służyły one do utrzymania blaszanego zbiornika w kształcie lejka, do którego spływała żywica. Wszystko to musiałem wykonywać na drabince, gdyż spała znajdowała się na wysokości ponad 3 metrów. (Dolna część sosny była już wykorzystana od kilku lat). A więc do wykonania całego zadania, będąc

w zimowym odzieniu, nosiłem ze sobą drabinkę, worek z „kromponami”, młotek uwiązany na sznurku, by nie zgubić go w śniegu oraz dwa metalowe przebijaki i narzędzie do wyłobienia środkowego rowka. Było to duże obciążenie. Całość pracy wykonywana na drabince była bardzo mozolna. Już samo ustawienie drabinki w głębokim śniegu, w którym zapadała się gdy na niej stanąłem, było niełatwe. Trzeba było dobrze ubić śnieg. Wracalem z pracy skonany.

W kwietniu naczelnik osiedla zwolnił mnie z tej pracy w tajdze dla przygotowania koncertu na otwarcie domu kultury. Niedziele wolne były dla wszystkich od pracy. Stopniowo poznawałem mieszkańców Perspektywnego, wśród których było co najmniej kilkanaście narodowości. Najwięcej było Rosjan, Litwinów, Łotyszów, Ukraińców, Kirgizów, Uzbeków i in. Ja byłem jedynym Polakiem, ale jak się później okazało, w. „sanczasti” czyli ośrodku zdrowia pracowała Polka z Besarabii o nazwisku Bronisława Olario. Inteligentna o bardzo dobrym sercu była szczęśliwa, że znalazł się jeden w osadzie rodak. Po kilku miesiącach odnalazł się jeszcze jeden Polak z Jasła – Władysław Murdzek. Tak w trójkę tworzyliśmy miejscową Polonię, spotykając się możliwie jak najczęściej.

Wśród mieszkańców wyszukiwałem osoby które mogłyby pomóc w utworzeniu amatorskiego zespołu artystycznego. Poznałem wówczas litewską rodzinę Kazimir Kazimirowicza Paulauskasa – on nauczyciel, mieszkał z żoną, dwoma synami i córkami – Jolą – lekarką i Juratie – uczęszczającą do szkoły w Długim Moście, bardzo muzykalną dziewczynę. W ich domu poznałem również Litwinkę Aldonę Paulauskajtę, o pięknym głosie i Litwina o imieniu Bronis, grającego na gitarze. Często wieczorami słuchałem z zachwytem litewskich pieśni przy akompaniamencie gitary, zaś na skrzypcach grał gospodarz domu – Kazimierz. To był początek mojego zespołu. Z czasem pojawił się kolejny gitarzysta Litwin Ionaitis, Rosjanin grający na bałajce Iwan Nikołajewicz Wachonin (mieszkał obok naszego domu z żoną, która przyjechała do niego z głębi Rosji.) Kolejni „artyści” – jeden grający na harmonii („bajanie”), świetny śpiewak tenor Lonia, Paweł Riechaczow, inteligentny, recytował poezje. Dziś nie pamiętam wielu nazwisk, zapamiętałem natomiast imiona.

W „posiołku” mieszkało małżeństwo Walentyna i Aleksander Karzuchinowie, którym marzyło się objęcie kierownictwa domu kultury, w czym ja im przeszkodziłem. Jednak byli mi przyjaźni, prowadzili bibliotekę i mobilizowali do zespołu uczestników. Pani Walentyna zorganizowała z czterech dziewczyn mały balet, w skład którego weszły Juratie, Lidia, oraz dwie siostry Niemki Gertruda i Ruta mieszkające w pobliżu domu kultury nazywanego tu w skrócie „klubu”. Tam mieszkała czteroosobowa niemiecka rodzina przesiedlona tu (raczej wysiedlona) z nad Wołgi. Byli bardzo religijni i w każdą sobotę wspólnie modlili się.

W sumie powstał około trzydziestoosobowy zespół. Wykorzystałem różne pozawierane znajomości i utworzyłem mały zespół muzyczny (dwoje skrzypiec, trzy gitary, dwie mandoliny, bałajka i harmonia), chór szesnastoosobowy – sekcję recytatorsko-dramatyczną (skecze) i czteroosobowy balet. Próby odbywały się w nowym klubie, pachnącym żywicą. Sala widowiskowa na 250 osób, scena z zapleczem, na pierwszym piętrze biblioteka i czytelnia. Wszystko czynne w zasadzie w zimie, kiedy niema sezonu na żywicowanie. Zbliżał się dzień uroczystego otwarcia klubu – święto pracy 1-go Maja. Cała miejscowość już mnie dobrze znała. Wszyscy byli przyjaźnie nastawieni. Dzień przed uroczystością odbyła się generalna próba i nadszedł moment mojego „egzaminu”. Koncert miał się odbyć wieczorem. W ciągu dnia spotykałem idąc główną ulicą wielu znajomych. Każdy zapraszał na chwilę do swojego domu. Nie można było odmówić podobnie jak wypicia jednego „stakana” wódki, której nienawidziłem. Był taki głupi zwyczaj, że jak się nie wypilo, to nie było się przyjacielem.

I tak po pewnej chwili nie mogłem już chodzić po prostej. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Upili mnie. A tu wieczorem odpowiedzialna impreza. Dowlokłem się do domu, na szczęście obok mieszkali moi przyjaciele państwo Wachoninowie. Zobaczywszy co się stało, zabrali mnie do siebie. Dostałem do wypicia jakiś płyn, po którym zasnąłem. Położono mnie na ganku, nakryto kocami, skórą i zapomniałem o całym Bożym świecie. Po całym osiedlu poszła wieść że jestem pijany. Strach. Zerwanie uroczystości to kontrrewolucja. Tyle prób, tyle czasu na przygotowanie koncertu. Po paru godzinach obudziłem się. Byłem trzeźwy. Widocznie napar, który mi dano był świetnym lekarstwem. Dostałem coś lekkiego do zjedzenia, poszedłem do swojego mieszkania, przebrałem się, obmyłem twarz, nastroiłem instrument i poszedłem do klubu, który pękał w szwach. Nabita sala, czekano na mnie. Sprawdziłem czy wszystko jest na swoich miejscach, chór, soliści, zespół muzyczny. Przyszedł naczelnik tej leśnej osady z jakimiś „towarzyszami” i rozpoczął się koncert. Udał się doskonale.

Tymczasem bywałem często w „obszczeżytiu” u Pani Bronisławy, która mieszkała razem z Aldoną Paulauskajtie. Czasem gotowały mi coś do zjedzenia, zacząłem bywać na kolacjach, Aldona zaczęła naprawiać mi bieliznę, coś przeparała i tak zaprzyjaźniliśmy się. Czasem rąbałem im drzewo, przynosiłem wodę. Z Aldoną i jej koleżanką Ukrainką Wierą przygotowuję piosenki w duecie. Zacieśnia się przyjaźń. – Otrzymuję nareszcie wiadomości z domu, moje „siostrzyczki” ze Lwowa przysyłają paczkę z butami do pracy (gumowymi), kombinezon.

Nadchodzi okres żywicowania. Klub zostaje zamknięty, a ja by żyć idę do pracy w tajdze. Zostaję „wzdymaszczykiem”, czyli robotnikiem pozyskującym żywicę. Jest to niemal zabójcza praca, trwający od piątej rano aż do zmierzchu, z przerwą na południowy odpoczynek i zjedzenie

jakiegoś posiłku. Rano o świcie po zjedzeniu skromnego śniadania ubieram się w roboczy kostium i wychodzę na swój „uczastok” – odcinek pracy. Musiałem nauczyć się nacinania sosen. Nieumiejętność powodowała zmniejszenie zarobku. Spały były na wysokości około 3 m. Chodziłem z drążkiem, na końcu którego przymocowany był specjalny nóż do nacinania drzewa. Nacięcie robiło się w kształcie litery „V” tak, by kończyło się w wyłobionym kanalik, po którym z nacięcia spływała żywica. Miałem do obejścia około 5 tysięcy spał, to jest około 4 tysięcy sosen. Trzeba było dobrze poznać ścieżkę, którą obchodziłem wytypowane do żywicowania drzewa. Niektóre z nich były tak grube, że mogło je objąć trzy osoby. Takich sosen nie widziałem nigdy w życiu. Moje dzieciństwo obcowania z lasem ułatwiało orientację w tajdze. Praca była mordercza. Wychodząc o piątej rano, trawa była wilgotna. Przemoczone spodnie wysychały dopiero po pewnym czasie. Miliony komarów cięły niemiłosiernie. Z chwilą nagrzania powietrza pojawiały się kolejne miliony „moszek” drobnych muszek żądnych ludzkiej krwi. Były maleńkie, wciskające się w każdą szczelinę odzieży, nawet przez rozporek. Ukąszenie powodowało wystąpienie kropelki krwi. Kilkanaście ukąszeń mogło wywołać gorączkę. W tej sytuacji na głowę ubierałem „nakomarnik”, rodzaj worka opadającego na plecy z siatką od strony twarzy, na ręce rękawice jak najdłuższe. W tajdze bywały upały dochodzące do 40°C. Praca w takim ubiorze ogromnie wyczerpywała organizm. Aby trochę lżej być odzianym, niektórzy robotnicy smarowali się dziegciem, co chroniło od ukąszeń, jednak utrudniało zmycie tłuszczu. Jak już wspominałem, eksploatacja sosen prowadzona była od kilku lat. Stąd też aby naciąć „spalę” na wysokości ponad 3 metrów, trzeba było wciąż chodzić z zadartą do góry głową. To powodowało duży ból w karku. Jednocześnie ciągłe trzymanie drążka z nożem do nacinania powodowało bolesny skurcz palców, które po paru godzinach trudno było rozchylić. W sumie była to piekielna robota. Jako początkujący „wzdymaszczyk” czyli robotnik, nacinający spały, miałem stosunkowo niewielką ilość drzew. Silni i młodzi robotnicy mieli do obejścia osiem tysięcy drzew. Oczywiście dawało to większy zarobek. Mój „uczastok” (odcinek) znajdował się w odległości 5 km od Perspektywnego. Nie pozwalało to na codzienne chodzenie do miejsca zamieszkania. Dlatego schodziło się z pracy w sobotę, aby dokonać zakupów na cały tydzień i w niedzielę wieczorem z workiem z prowiantami wracało się na miejsce pracy. Mieszkałem w małym drewnianym domku z dwoma oknami i małymi klinkami do spania. Obok domku miejsce na gotowanie, oczywiście na ognisku. Trzeba było oprócz pracy przy sosnach przygotowywać opał – przynieść, pociąć na kawałki i porąbać.

Tajga pomimo wysiłku jaki trzeba było wnosić w pracy, by można było z czegoś żyć – w sumie była wspaniała. Zapach żywicy, wydzielanie się różnych olejków często o zapachu terpentyny. Dzikie kwiaty o dziwo

w większości bez zapachu, m.in. storczyki. Duża ilość grzybów, owoców m.in. poziomek, malin, „gołubiki”, owocu w rodzaju borówek, ale trzy razy większych, brusznicy i in. W wolnych od pracy dniach i chwilach zbierano te owoce, by zimą oprócz smaku dawały witaminowe wzmocnienie dla organizmu. – Bogaty był świat zwierząt. Zające, lisy, cietrzewie (byłem światkiem ich toku), rzadko niedźwiedzie lubiące miód i maliny, wreszcie śliczne zwierzątko – „burunduk”. Coś w rodzaju wiewiórki, ale mniejsze. Gdy miała być burza lub duża ulewa „burunduk” wysiadywał na pniu drzewa i wydawał pisk. Miał śliczne prążkowane futerko. Kiedy po powrocie do kraju bawił się mój maleńki synek, nazywałem go czasem „burundukiem”. W tajdze nie prowadzono gospodarstwa leśnego. Stąd leżały stare drzewa często wieloletnie. Raz, gdy chciałem przejść takie ogromne, grube drzewo, stanąłem na nie i zapadłem się powyżej kolan. Było całe spróchniałe. Tajga bywa groźna. W czasie silnego, huraganowego wiatru korony drzew ocierają się o siebie i słabe drzewa łamią się i upadają, konary mogą nawet zabić człowieka. Wtedy nie należało chodzić po tajdze. Bywało i tak, że przy wspaniałej pogodzie w absolutnej ciszy w tajdze, nagle upadało majestatycznie potężne drzewo, jakby zmęczone już swoim wiekiem. Podziwiałem taki widok.

Przeżyliśmy jeszcze jeden kataklizm w tajdze. Był to pożar. Latem podszycie jest w okresie upałów bardzo suche. Dlatego zakazane jest palenie papierosów z pozostawieniem niedopałka. Ogniska muszą być dokładnie wygaszane wodą lub poprzez zasypanie ziemią. Nie wolno zostawiać butelek, bo mogą stanowić dla słońca soczewkę powodującą pożar. Pewnego dnia całe osiedle postawiono w stan alarmu. Paliła się tajga na szerokości około 300 km. Pożar na szczęście szedł dołem. Najniebezpieczniejszy jest, gdy idzie koronami drzew. Najtrudniej go ugasić. Zwykle gdy jest pożar towarzyszy mu wiatr, który przenosi iskry. Na wiadomość o pożarze musieliśmy wracać natychmiast do domów. W osiedlu bito na alarm w wiszące specjalnie do tego celu szyny, lub metalowe tarcze. Zaporą dla pożaru jest rzeka lub bardzo szeroka droga. Koło Perspektywnego nie było rzeki. Cała ludność kopała szerokie rowy, noszono wiadra wody, gałęziami gaszono tlejące się poszycie. Kto tylko miał siłę, włączał się do gaszenia pożaru, by nie doszedł on do osiedla. Padaliśmy z nóg od wysiłku a przede wszystkim ogromnej temperatury. Pożar został ugaszony. Jednak swąd spalenizny unosił się w powietrzu przez długi czas. Część tajgi po pożarze nie nadawała się do eksploatacji w sensie żywicowania. Spały były zalane żywicą. Zmusiło to kierownictwo robót do przeprowadzenia zmian w przydziale odcinków dla poszczególnych robotników. Ponieważ ja nie wykonywałem normy z uwagi na brak sił zmniejszono mi ilość spał i przydzielono do pomocy w zbieraniu żywicy Aldonę Paulauskajtie. Kierownictwo wiedziało, że czujemy do siebie sympatię. I tak zamieszkaliśmy razem w domku w

tajdze. Ja nacinałem sosny, Aldona z wiadrem i specjalnym drążkiem zakończonym metalowym kółkiem, zdejmowała zbiorniczki wypełnione żywicą, wygrzebując ją potem specjalnym nożem. Pełne wiadro żywicy odnosiła do schronu z belek drewnianych, w którym umieszczone były drewniane beczki. Ilość zebranej żywicy decydowała o wynagrodzeniu „wzdymarczyka” i „zborarczyka”. Wiadro żywicy ważyło około 10 kg. Zbierając żywicę nosiła zawsze dwa wiadra gdyż chodzić daleko po jedno wiadro nie opłacało się. Później ta praca odbiła się poważnie na zdrowiu Aldony.

Nacinanie drzew wymagało długiej trasy, z uwagi na to, że nie każda sosna nadawała się do eksploatacji. W tej sytuacji dziennie razem z Aldoną pokonywaliśmy ponad 20 km drogi. W przerwie obiadowej Aldona gotowała strawę, ja ostrzyłem noże specjalnymi kamieniami, osetkami. Była to bardzo ważna robota, gdyż od dobrego naostrzenia zależał wysiłek nacięcia i spływ żywicy. Każda spała musiała być regularnie nacinana co trzy dni, aby żywica nie zaschła. – Raz w czasie pracy, gdy stanąłem na chwilę by odpocząć zobaczyłem wspaniałego jelenia. Był to obraz, który zapamiętałem na całe życie. Król tajgi, dumny, wspaniały, majestatyczny z bogatym porożem. I znów lot myśli do kraju. Ojciec – wybitny myśliwy, mający w swoim dorobku zbiory poroży jeleni, danieli, rogaczy, szable i fajki z upolowanych dzików. Wysupluję z pamięci obraz tych trofeów i opowieści ojca związane z polowaniami. Doprawdy nieźle się przy tym wzruszałem. Tymczasem pobyt w Perspektywnym ułatwiał otrzymywanie wiadomości z domu, od rodziny i przyjaciół. Otrzymywałem nawet banderole z prasą i fotografie. Z listów od najbliższych, zwłaszcza od Matki zawsze przebijała miłość i tęsknota. Miłość zaczęła się budzić i w nas. Codzienne obcowanie, wzajemna troska o siebie, wspólne rozmowy, wspomnienia, powodowały zbliżenie. Aldona okazała duże gospodarcze zdolności. Pani Bronisława przy naszych spotkaniach w żeńskim „obszczeżytiu” (można to nazwać internatem) stwarzała atmosferę rodzinną, przychylającą się do naszej przyjaźni i uczuć. Wieczory często spędzaliśmy w gronie Litwinów przy wspólnym muzykowaniu czy śpiewach. Była to odskocznia od codziennej pracy. Co dwa tygodnie z Długiego Mostu przywożono do klubu filmy. Jak bardzo różniły się filmy radzieckie od amerykańskich. Zupełnie inna kultura, poziom artystyczny. W poczcie otrzymałem nową książkę napisaną przez ojca „Poszumy lasu”. Zatapiałem się w jej czytaniu. Wspaniały literacki język. Tak bardzo polski. Pamiętam jak matka opowiadała mi, że gdy ojciec wykladał na uniwersytecie w Poznaniu na wydziale leśnym, to na jego wykłady przychodzili studenci z innych wydziałów by słuchać pięknego języka polskiego. Były to lata dwudzieste, kiedy naleciałości językowe po rozbiorach powodowały skażenie naszej ojczystej mowy.

Stopniowo nadchodziła jesień. W tajdze latają jeszcze jarzabki, przepiękne wielobarwne motyle, „burunduki”, dostojne zwierzęta harczą po drzewach. Rzadkie liściaste drzewa i krzewy zaczynają żółknąć, by przybierać wspaniałe wielobarwne gamy odcieni do purpury włącznie. Praca w tajdze jest coraz krótsza. W naszym męskim „internacie” zwozimy z tajgi suche drewno na opał w zimie. Piłujemy, rąbamy. Aldona nasmażyła 15 kg konfitur na zimę, robi wspaniałe barszcz litewski, ziemniaki z masłem i koperkiem, gotuje kaszę manną, kompot z „gołubiki”. W naszych pomieszczeniach grają głośniki z radiowęzła. Kończy się okres żywicowania. Na zakończenie „sezonu” udało mi się złapać „burunduka”. Był chyba młodziutki. Puściłem go. Aldona średnio zarabiała 900 rubli miesięcznie, w zależności od ilości zebranej żywicy, ja około 1000 rb. Kupiłem jej dwie sukienki. W sumie za cały sezon zebraliśmy trzy tony żywicy. 19-go września koniec żywicowania. Myślę o przyszłości. Piszę podanie do Malenkowa (przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR) z prośbą o wyjazd do Polski. W międzyczasie dostaję propozycję z Długiego Mostu by objąć tam kierownictwo klubu. Nie wyrażam zgody. Wsiąknę już w atmosferę Perspektywnego, nie chcę zmieniać otoczenia. Coraz częściej mówi się o powrocie Polaków do ojczyzny. Na moje podanie do Malenkowa brak odpowiedzi. W tej sytuacji postanawiam udać się do Długiego Mostu by tam na posterunku milicji dowiedzieć się czegoś więcej w sprawie ewentualnego uwolnienia. Mróz siarczysty, poniżej -40°C . Idę pierwszy raz przez tajgę zaśnieżoną drogą, nie mając pojęcia jak długo potrwa ten marsz. Mijam miejscowość Łazariewo i ze zdumieniem widzę stojące w śniegu kłosa zboża. Nie zdołano ich zebrać w czasie żniw. Co to za gospodarka? – Szedłem prawie pięć godzin. Dotarłem na podstawie informacji od ludzi do budynku milicji. To był ten sam budynek, do którego przywieziono nas z Kańska. Uzyskane tam informacje były jak zawsze niejasne i zagmatwane.

Typowo po sowiecku. Na moje stwierdzenie, że wysłałem pismo do Malenkowa i że nie mam na nie odpowiedzi powiedziano „nada ożydat”. Aby jakoś usprawiedliwić mój pobyt w Długim Moście poszedłem do miejscowego domu kultury, dla zorientowania się jakie tam mogę uzyskać materiały do moich koncertów. Poznałem bardzo sympatyczną Rosjankę – Musijenko, która słyszała już o moich koncertach i przyjęła mnie sympatycznie. Pokazała bibliotekę, zasób nut (bardzo skromny), śpiewniki itp. Obiecałem podtrzymać z nią kontakty. Jednocześnie poinformowała mnie, gdzie mogę znaleźć mieszkających tu Polaków. Dołgij Most to rodzaj małego miasteczka. Szerokie, w ruskim stylu ulice, drewniane domy. Odnalazłem wskazany mi budynek. Otworzyła sympatyczna kobieta, zdumiona gdy odezwałem się po polsku. Przyjęła mnie serdecznie, napoiła herbatą i mogłem zjeść przyniesione z „domu” kanapki. Okazało się, że w miejscowości tej

mieszka kilkoro Polaków. Zjawiła się druga kobieta, teraz obydwie przedstawiły się, pierwsza nazywała się Urszula Muskus, druga Aleksandra Podkowicz. Urszula Muskus po wyjeździe z kraju wydała w Londynie (1975) nakładem Koła Lwowian Rodziny i Przyjaciół książkę pt. „*Długi Most*” – *Moje przeżycia w Związku Sowieckim 1939-1956*. Pisała także poezje. Oczywiście rozmowom nie było końca. Kto, skąd, w jaki sposób znaleźliśmy się tu itd. Nie daleko mieszkał nasz rodak, który nieoczekiwanie przyszedł. Nazywał się Jan Stawiarski. Niskiego wzrostu, z brodą, pochodził z Poznania. Kiedy usłyszał moje nazwisko zapytał, czy nie znam leśnika Wiesława Krawczyńskiego. Gdy powiedziałem, że to mój ojciec, serdecznie mnie uściskał mówiąc, że studiował na poznańskim uniwersytecie i chodził na wykłady mego ojca. Tak zawiązała się nasza serdeczna przyjaźń.

Na dworze już szarzało i pan Jan zaprosił mnie do siebie na nocleg. Panie zrobiły skromną kolację, na którą zjawiła się jeszcze trzecia Polka Anna Szelechow. Podobno w okolicznych miejscowościach mieszkają też Polacy, jeden nawet z hrabiowskiego czy książęcego rodu. Nasze rozmowy toczyły się głównie na temat powrotu do kraju. Podobno w radiu były już na ten temat informacje. Biegły pertraktacje pomiędzy rządami polskim i sowieckim. Byliśmy pełni oczekiwań i nadziei, wiedząc jednak, że z Sowietami nigdy nic nie wiadomo, że nie można im ufać. Pan Jan opowiadał o swojej rodzinie, synach, ja również mówiłem o przeszłości w Polsce, o pobycie w łagrach i obecnej sytuacji. Zostałem poczęstowany śniadaniem, a opuszczając osadę Długi Most kupiłem w sklepie rodzynki dla moich pań w posiołku i ruszyłem w drogę do Perspektywnego. Mróz dochodził znowu do około 40° C. Po drodze aby się trochę ogrzać wstąpiłem w Łazariewo do jakiegoś budynku, skąd słyszałem granie i śpiewanie. Była to świetlica, w której na harmonii grał jakiś mężczyzna, zaś na środku tańczyły same kobiety zawodzące „czastuszki”. Pomieszczenie niewielkie, oświetlał je tylko jakiś kaganek, dziewczyny trzymały się w kółko za ręce i śpiewając przytupywały. Choć tyle miały radości, pozwalającej zapomnieć im o codziennej biedzie i niedostatku.

W Perspektywnym przywitały mnie moje panie serdecznie, Aldona zrobiła pyszne bliny, pokazałem zakupiony w Długim Moście prymitywny ścienny zegar za 10 rubli. Na drugi dzień zajęliśmy się kopaniem ziemniaków, których zebraliśmy 60 wiader, posadziliśmy 6. Obfity plon. Oprócz tego z ogródka Aldona z panią Bronisławą zebrały buraki, marchew, kapustę, ogórki. Wszystko na zimę. Były też przygotowane marynowane grzyby. Tymczasem trzeba było zająć się przygotowaniem koncertu z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej. Kiedy po cichu żartobliwie powiedziałem „prostytucji październikowej”, ostrzeżono mnie, bym nigdy tak nie żartował, bo to może się skończyć więzieniem. No cóż – po spotkaniu z rodakami miałem pogodny nastrój.

Zima była groźna. Mróz doszedł do 50°C. Zupełnie jak za kołem podbiegunowym. Trzeba było całą noc palić w piecu. Nad ranem woda w wiadrze zamarzała. Trwały przygotowania do koncertu. Daliśmy dwa koncerty z tym samym programem. Udały się. Natomiast w klubie działo się nie najlepiej. W czasie wyświetlania filmów, a raczej po seansach, dochodziło do bójek. Przychodzili pijani Rosjanie, Tatarzy, Gruzini i inni; raz doszło nawet do bójki na noże. Kierownik osiedla wezwał mnie, bym jako kierownik klubu zrobił z tym porządek. To nie było łatwe. Można było narazić się na pobicie, może nawet na zranienie nożem. Południowcy ze Związku Radzieckiego mieli temperament. Po rozmowie z Wachoninem postanowiłem zadziałać psychologicznie. Miałem za sobą doświadczenie więzień, łagrów. Wezwałem do klubu trzech największych „bandziurów”, którzy wywoływali burdy. Porozmawiałem z nimi proponując, że będą jak gdyby członkami zarządu klubu odpowiedzialnymi za spokój na imprezach i porządek. Aby byli widoczni, otrzymają szerokie czerwone opaski i będą przy drzwiach do klubu pilnować porządku. Byli tak głupi, że im to zaimponowało. Od tego czasu na seansach filmowych, koncertach, potańcówkach był idealny spokój.

Nadeszło kolejne Boże Narodzenie. Zima zelżała. Było zaledwie 30° mrozu. Mieszkańcy osady będący katolikami, przygotowywali się do świąt. Pierwsze święta na zesłaniu. W naszym męskim „internacie” chłopcy coś tam gotowali, zakupili alkohol. U kobiet również pełną parą szły przygotowania do wigilii. Ze Lwowa otrzymałem w kopercie opłatek, wyciąłem w tajdze choinkę, którą panie ubrały czym mogły. Zakupiliśmy jabłka, mąkę, cukier, 4 kg ryby bez ości, ja kupiłem nawet za 16 rubli butelkę Portweinu. Na wigilii było nas sześć osób. Były kolędy i wspomnienia, myśli biegnące daleko do Polski, do naszych domów, rodzin. Prezentem była wiadomość, że załatwiłem Aldonie pracę sprzątaczką w domu kultury za kilkadziesiąt rubli. Trzeba było palić w piecach, myć podłogi itp. Serdeczne były święta u Litwinów.

Nadszedł Nowy Rok 1955. Nastrój wciąż świąteczny, u Litwinów wieczorami oprócz kolęd graliśmy na trójce skrzypiec. Juracie też umiała grać. Kolejny koncert noworoczny i od tego czasu każdej soboty czy niedziele grywaliśmy w klubie wieczorami do tańca. Znowu byłem w Długim Moście po nuty, gdzie nieoczekiwanie spotkałem kolegę z gimnazjum w Chyrowie, Jarosława Moroza. Ależ los porzucił nas po świecie. Wiadomości wciąż poszerzały się co do wyjazdu Polaków do ojczyzny. Okazało się, że w rejonie jestem na liście do powrotu do ojczyzny. Trzy dni przebywałem na rozmowach z rodakami. Byłem u dentysty, usunąłem trzy korzenie. Rodacy czytają książkę mego ojca. Wzrasta nadzieja powrotu. Coraz bardziej zacieśnia się nasze uczucie z Aldoną. W lutym nowy program koncertowy. Przyjeżdża jakieś „naczalstwo” z Długiego Mostu. Pozytywna ocena koncertu.

Piszę do domu o uczuciach do Aldony. Została zesłana z ojcem Konstantym i braćmi Kostasem i Ionasem, którzy byli w litewskiej partyzantce. Aldona na zesłaniu mieszkała razem z ojcem, który zmarł w 1950 roku, a warunki były takie, że sama go chowała. Oczywiście o księdzu nie było mowy. Wciąż panowała sowiecka antyreligijna propaganda. Zacieśniały się nasze więzy. Od roku nie miałem korespondencji od mojej dziewczyny z Polski. Człowiekowi brak było ciepła, pieczyoty, wspólnych zainteresowań w codziennym życiu. I tak w lutym okazało się, że Aldona jest w ciąży. Trzeciego marca w Urzędzie Stanu Cywilnego w Długim Moście wzięliśmy cywilny ślub. Jednocześnie w domu przed krzyżem składamy sobie przysięgę. Informuję o tym w listach rodziców i „siostrzyczki” we Lwowie. Będąc w Długim Moście odwiedziliśmy moich rodaków i dowiedzieliśmy się, że Jan Stawiarski wyjechał do Polski. Ta wiadomość natchnęła nas otuchą, że może wreszcie wyjedziemy do kraju. Na milicji zgłosiłem na wyjazd Aldonę. W liście do rodziców prosiłem o przysłanie na Aldonę „wyzewu” czyli urzędowego pisma wyrażającego zgodę władz sowieckich na jej wyjazd. Takie biurokratyczne wymogi. W kwietniu kierownik „posiołka” proponuje mi posadę magazyniera z wynagrodzeniem 200-300 rubli miesięcznie. Przyjmuję, aby nie iść do ciężkiej pracy w tajdze. Jednocześnie przygotowuję koncert na „Święto pracy 1 maja”. Może to będzie ostatni już mój koncert. Kolejne Święta Wielkanocne z panią Bronisławą i W. Murdzkiem. Kierownik „posiołka” przydziela mieszkanie. Przenosimy się z Aldoną do jednego pokoju z dużym wspólnym piecem z sąsiadami. Bielimy ściany, urządzamy bardzo skromnie pokój. Mamy kota, którego nazywamy Pulka. W kwietniu nadchodzi bogata paczka ze Lwowa, a w niej dwie ślubne obrączki poświęcone przez Ojca Rafała Kiernickiego, żołnierza Armii Krajowej, aresztowanego we Lwowie razem z moim wujem Turowiczem z całym sztabem A.K. przy ul. Kochanowskiego. Obydwaj zostali zwolnieni z obozu i wrócili do Lwowa. Wraz z obrączkami dostaliśmy tekst przysięgi małżeńskiej, którą złożyliśmy wobec dwojga świadków B. Olario i W. Murdzka. Stopniowo starałem się uczyć Aldonę podstawowych polskich słów. Jak dziwne są ludzkie losy. Okazało się, że wśród Polaków w Długim Moście znalazł się kolejny rodak pracujący kiedyś u mojego dziadka (ojca mamy) w podlowskich dobrach hr. Jerzego Potockiego – Kazimierz Pol.

W moim magazynie, który prowadzę dzieje się nie najlepiej. Ludzie przychodzą z różnymi sprawami, po narzędzia, bieliznę, pościel itp. ale niespostrzeżenie kradną co się da. W tej sytuacji chcąc mieć czyste konto przed ewentualnym wyjazdem do kraju przekazuję magazyn innej osobie wyznaczonej przez kierownika Doksa. Mam kłopoty z przygotowaniem majowego koncertu, bo ludzie chodzą już w tajgę. Próby wieczorami trwają do 22-giej. Wszyscy są zmęczeni. Jednak koncert udał się. Kierownictwo zadowolone. – Śnieg taje, unosi się

wiosenny zapach tajgi. Czasem pokropi deszcz. Praca w klubie kończy się. Sezon żywicobrania. Katorga z uwagi na wygórowane normy.

Zaczynam pisać rodzaj pamiętnika, by utrwalić daty ważniejszych zdarzeń. Maj napawa jakąś nadzieją. W Polsce majowe nabożeństwa. Tu tak mało pamiętają ludzie o religii, a propaganda sowiecka wciąż ją tępi. Dobrze, że choć Litwini, Niemcy, niektórzy Ukraińcy (rzadko) wspominają o Bogu. Prymityw człowieka ukazuje się na każdym kroku. Jak tylko mogę, udaję się do Długiego Mostu po wiadomości. Pani Urszula ma radio, więc więcej wiadomości. Aldona dużo pracuje w ogrodzie, który ma dość dużą powierzchnię, jakieś 70 x 15 m.

22 maj. Imieniny ojca i moje. Aldona robi małe przyjęcie. Ze Lwowa otrzymuję gumowe buty do pracy w tajdze. Ciepło, kwitną czeremchy.

12 czerwiec. Udało mi się pożyczyć rower. Jadę do Długiego Mostu godzinę i 40 minut. Jednak trzeba z czegoś żyć. Idę w tajgę na żywicowanie. Co drugi dzień przychodzi Aldona na zbieranie żywicy. Wstajemy o 6⁰⁰ rano, wracamy o godz. 18⁰⁰. Uzbieraliśmy 800 kg żywicy. Nie chcę by Aldona chodziła do pracy. Trudno jej się schylać. W tajdze spotkała mnie okropna burza. Korony drzew tworzyły jakiś dziwny taniec, łamały konary, częste błyskawice. Wróciłem mokry do domu.

17 lipiec. Wiadomości z Krasnojarska. Przygotowuje się jednak repatriacja. W tym miesiącu zarobiliśmy 2300 rb. Upały były męczące. Zbieraliśmy jagody na zimę i nieoczekiwanie blisko spotkaliśmy zajaca. Śliczny. Przyglądnał się nam i uciekł. Może pierwszy raz widział ludzi? Piet'ka zrobił nam zdjęcie pod sosną ze „spałą”. Posłałem do domu.

31 lipiec. Niebywała okazja. Pojechaliśmy z Aldoną autem do Długiego Mostu na zakupy. Dla noworodka kupiliśmy pieluchy, koszulki, kaftaniki, prześcieradełko. Ogród nasz wygląda wspaniale. Dużo ziemniaków, marchwi, ogórków, pomidorów. Są nawet słoneczniki i dynie. Podobno sprawa wyjazdu do Polski na najlepszej drodze.

7 sierpień. Kolejna paczka od „siostrzyczek” ze Lwowa. Pieluszki, ceratka, olejek, puder, materacyk. Nawet penicylina. To są nadzwyczajne osoby Krysia i Zosia. Ile ciepła, serdeczności, a przecież w zasadzie zupełnie obce istoty.

28 sierpień. Przygotowujemy pokój na przyjęcie dziecka. Bielimy, szorujemy podłogę, wszystko świeżutkie, pachnące.

19 wrzesień. Aldona rano kopie ziemniaki, dostaje silne bóle porodowe. Nie idę do pracy. Po południu zaprowadzam ją do ambulatorium do pani Bronisławy, tak bardzo dla nas przyjaznej. Wieczorem jestem już w ambulatorium. Ma nastąpić poród. Denerwuję się by dziecko urodziło się zdrowe. Mój dziadek Kowalski urodził się bez prawej dłoni. Gorąco się modłę.

20 wrzesień. O godzinie 4⁴⁰ przyszedł na świat mój syn Stasiu! Wspaniały chłopak, pani Olario pokazuje go z dumą. Ona go odbierała. Na drugi dzień wszyscy w osiedlu składają mi gratulacje: Wysyłam telegramy do Krakowa i Lwowa. Oby Pan Bóg dał mu szczęście.

25 września. Aldona ze Stasiem wracają do domu. Mały ma żółtaczkę. Pani Bronisława gotuje, pierze, pomaga jak może.

2 października. Nie mogę się doczekać wiadomości o repatriacji. Stasiu pierwszy raz kapany, żółtaczka już minęła. Po tygodniu po raz pierwszy syn wyniesiony na świeże powietrze. Ja idę do Długiego Mostu po dowód jego urodzenia i zaraz rejestruję go na wyjazd do Polski. W Długim Moście otrzymuję kolejną propozycję od Związku Zawodowego Chemików i Leśników w sprawie objęcia stanowiska kierownika Domu Kultury. Otrzymujemy z Aldoną kwotę 1200 rb. zaległą za pracę przy żywicowaniu. W Perspektywnym kierownictwo usilnie prosi mnie, bym zorganizował kolejny koncert z okazji (prosty ...) rewolucji. Mobilizuję ludzi, koncert udany.

13 listopad. Nadchodzi zima. Mróz do -18°C . Stasiu wynoszony na powietrze, wozimy go na sankach. Czasem leży szczelnie owinięty na „tamburze” – balkonie. Muszę pamiętać o zimie. Zwozimy z Aldoną suche drewno z tajgi. Niestety w pobliżu osiedla wszystko wyzbierane. Trzeba wozić z daleka. Piłujemy długie na metr „czurki”, polana, bo tak długie mamy w piecu palenisko. Rąbię drewno. Nocą silny „buran” wiatr, mało nie zerwie dachu. Zamieć śnieżna, nic nie widać. Jednak brak pieniędzy zmusza do podjęcia pracy.

27 listopada. Przyjmuję pracę odbiorcy drewna, które zwożą woźnicy „izwoszczyki”. Każdy woźnica chce oczywiście mieć policzoną jak największą ilość przywiezionych kubików. Muszę być ostrożnym, by przy niskim wymiarze nie zostać ugodzony nożem. Temperamenty są różne. Każdy walczy o wyższy zarobek. Za pracę otrzymuję 300 rb. miesięcznie. Czasem pomagam przy układaniu drewnianych beli (tzw. „sztabeliowka”). Sosny są potężne. Dostaliśmy po kawałku mięsa z jelenia i niedźwiedzia. Nocą okropny huragan. Wyleciała nam z okna szyba. Na szczęście w śnieg i wstawiłem ją na drugi dzień.

1 grudzień. Nareszcie przyszło ogłoszenie z Długiego Mostu, że Polacy mają się przygotować do repatriacji. Podróż do Polski na koszt państwa, osoba dorosła dostaje 300 rb., na dziecko 200 rb. i litr mleka dla matki. Na liście nie ma Aldony i Stasia.

2 grudzień. Natychmiast udaję się do Długiego Mostu do milicji. Rozmawiam w lejtnantem. Stwierdza brak na liście żony i syna. Mam się zastanowić czy jadę do kraju czy nie? Lejtnant namawia do pozostania. „Wprawdzie w Polsce u was też komunizm, ale wiecie jak to jest różnie. Tu macie dobrą opinię, pracę a tam nie wiadomo co”. Postanowiłem natychmiast napisać podanie do Rady Najwyższej ZSRR. Byłem załamany. Nie mogę zostawić żony i dziecka, żeby wychowano je na

ruskiego „bandziora”, który kiedyś może być przeciwko Polakom. Byłem w okropnej rozterce. Tam ojczyzna, rodzice, tu dziecko i żona. Poszedłem załamany do rodaków. Tam od razu stwierdzili, iż w radiu były informacje w sprawie repatriacji. Jeżeli jest małżeństwo mieszane i z dzieckiem, jedźcie razem do Polski. Natychmiast wróciłem na milicję i powiedziałem o tym przekazie radiowym lejtnantowi. Ten nakazał wrócić do Perspektywnego, gdzie mam oczekiwać na wiadomość. Byłem szalenie zdenerwowany

4 grudnia. Jestem wezwany do kierownika „posiołka”, który mnie informuje, że jest zgoda na mój wyjazd z Aldoną i Stasiem. Bogu niech będą dzięki! Przygotowujemy się do wyjazdu. Sprzedajemy co się da z rzeczy, mebli, jarzyn. Z tych ostatnich część oddajemy bezpłatnie. Nie tak łatwo nagle znaleźć kupca. Pani Bronisława załamana, ale ma nadzieję, że może pozwolą i jej wrócić na Mołdawię.

8 grudnia. Wysłałem telegram do Krakowa i Lwowa, że wyjeżdżamy.

9 grudnia. Po pożegnaniach nocą, o 6⁰⁰ rano przy czterdziestostopniowym mrozie wyjeżdżamy z woźnicą saniami. Stasiu opatulony w co się da. Boimy się tego mrozu dla dziecka. Po drodze wstępujemy do jakiejś chaty w Łazariewo, żeby Aldona mogła nakarmić Stasia, by go ogrzać. Dotarliśmy do Długiego Mostu. Wokół budynku milicji tłum ludzi. Wszyscy mówią po polsku. Ilu nas jest. Czytają listę powracających do kraju. Uważnie śledzę kolejne nazwiska, na szczęście jesteśmy też wyczytani Teraz opada napięcie. Podstawiają autobusy z oblodzonymi szybami, zamarznęte. Wsiadamy. Ludzie ogrzewają wnętrza. Jedziemy do Kańska. Jednak można wierzyć w cuda!

Wagony były luksusowe, jak sypialne. Ja zająłem miejsce na górze, pode mną. Aldona z dzieckiem. Był materac, prześcieradło, poduszka i koc. Były nawet lustra. Wagony z Kańska cofnięto do Krasnojarska, gdzie montowano cały skład pociągu. Nowe znajomości. W pociągu wracał do Polski O. Albin Janocha, kapucyn. Wracał też młody człowiek, podobno hrabia Lubomirski. Codziennie podawano w termosach gorące stawy, gorzej było z mlekiem dla małego. Wysiadałem na stacjach gdy podawano jedzenie i szukałem mleka. Kipiatok był zawsze, mleko niełatwo było zdobyć. Z Briańska wysłałem telegram, że jedziemy. Przekraczamy dawną polską granicę, mijamy Tarnopol, nocą wjeżdżamy na piękny lwowski dworzec. Mamy postój około dwu godzin. Wyskakuję przed dworzec, biorę taksówkę i jadę na ul. Kochanowskiego 36, by poznać moje przybrane siostrzyczki. Jakaś pani otwiera bramę informując, że Zosia i Krysia pojechały na dworzec, by się z nami zobaczyć. Wracam i rzeczywiście po raz pierwszy poznaję się z nimi. Przyniosły coś do zjedzenia i picia. Serdeczne dziewczyny. Przez tyle lat podtrzymywały mnie na duchu.

Rano jesteśmy na granicy. Sowieci oglądają wagony z wszystkich stron, z dachów, pod spodem. Przejeżdżamy San. Jesteśmy w Polsce.

Kolejarze z orzełkami na czapkach. Mamy łzy w oczach. Po dziesięciu i pół roku jestem w kraju. Przywożą nas do Żurawicy, gdzie znajduje się Punkt Repatriacyjny. Stasiu był najmłodszym pasażerem w pociągu. Dostajemy oddzielny duży pokój, czysta pościel. Za mną dwa więzienia we Lwowie, w Tajsze i Krasnojarsku. Osiem obozów: Pieczora, dwa w Siwej Masce, Abieź, Igarka, Czuna, Tajszet i znowu Czuna. Ponad 10 lat straconego życia.

Na drugi dzień sprawdzanie list repatriantów, otrzymujemy po 300 zł na osobę. Przedstawiciel Urzędu do Spraw Repatriacji wita nas słowami „wiemy, że macie za sobą wyroki, ale sumienną pracą w Polsce Ludowej możecie się zrehabilitować”. Ciekawe powitanie. 31 grudnia wsiadamy do pociągu jadącego do Krakowa. W przedziale kilka osób, w tym jakiś kapitan. Wszyscy są zainteresowani nami. Ogólnie opowiadam o „wędrownicy”. W Krakowie wysiada też kapitan, szuka taksówki i nakazuje kierowcy, aby dobrze się nami opiekował. Dojeżdżamy do kamienicy gdzie mieszkają moi rodzice przy ul. Sienkiewicza 8, czwarte piętro. Otwiera dozorczyńni uprzedzona już o naszym przyjeździe. Po cichu wnoszę na strome czwarte piętro Stasia i bagaże, dzwonię. Po pewnym czasie drzwi się otwierają i padam do nóg moim Rodzicom, witając się we łzach. Był Nowy 1956 Rok!¹

¹ Oto niektóre dane o osobach wspomnianych w tekście: Zofia i Krystyna Panek mieszkaly we Lwowie przy ul. Kochanowskiego 36. Działyły wśród polskiej młodzieży utrwalając polskość. Narażały swoją wolność ucząc polskiej historii, języka, a przede wszystkim naszych ideałów. Pracowały we Lwowie i Brzechowicach. Zosia po odwiedzinach rodziny w Krakowie i u nas, zmarła po kilku latach na raka oka. Krysia przyjeżdżała do siostry zamieszkałej w Katowicach. Często ją odwiedzałem. Zmarła w Katowicach. Jerzy Rakowski – ożenił się z Rosjanką, osiadł w Opolu, gdzie grywał na fortepianie i akordeonie w zespole. Później gdy tracił wzrok, grał na elektrycznych organach w Urzędzie Stanu Cywilnego na ślubach. Zmarł w Opolu. Dorota Jabłońska zamieszkała w Białymstoku i kontakt się nasz urwał. Jan Stawiarski po powrocie do ojczyzny zgolił brodę, po paru latach umarł. Jego syn przez wiele lat był prezesem Związku Sybiraków w Zielonej Górze. Mój syn Stanisław – jest profesorem i rektorem Akademii Muzycznej w Krakowie.